

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/zbrodnie-komunistyczne/64248,Zdawalo-sie-im-ze-go-unicestwili.html>



WYWIAD

Zdawało się im, że go unicestwili...

OKRES HISTORYCZNY

(1980-1990) Epoka Solidarności

Autor: KS. ANTONI PONIŃSKI, KATARZYNA
MANIEWSKA 14.09.2022

"Dzień był pochmurny. Ulica, przy której stał budynek sądu – zamknięta dla ruchu. Wszędzie milicyjne wozy. Na wewnętrznym dziedzińcu sądu – pojazd z armatką wodną. Nad tym wszystkim krążył helikopter. I ta pustka dookoła..." O

procesie toruńskim z ks. Antonim Ponińskim rozmawia Katarzyna Maniewska.

Katarzyna Maniewska: Przyjęliście święcenia kapłańskie w tym samym roku. Poznaliście się jednak dopiero kilka lat później...

Ksiądz Antoni Poniński: Zostaliśmy księżmi w 1972 r. – ks. Popiełuszko w maju, w Warszawie, a ja w czerwcu, we Włocławku. Pierwszy raz spotkaliśmy się na przełomie 1979/1980 r. w Niepokalanowie, dokąd ks. Jerzy przyjechał z duszpasterzem stołecznej służby zdrowia, ks. Zdzisławem Królem (zginął w katastrofie smoleńskiej), któremu pomagał. W początkach stanu wojennego, chyba w styczniu 1982 r., będąc w Warszawie, wstąpiłem do ks. Popiełuszki.



Ksiądz prałat Antoni Poniński - doktor nauk teologicznych i historyk, kapłan diecezji włocławskiej, wyświęcony 17 VI 1972 r. Badawczo od lat zajmuje się przede wszystkim problematyką najnowszych dziejów Kościoła w Polsce, także w okresie dyktatury komunistycznej

Opowiadał o inwigilowaniu go, o wrzuconym do mieszkania ładunku wybuchowym, ale i o pomocy represjonowanym, o więzach łączących go z robotnikami Huty Warszawa i o początkach Mszy św. za Ojczyznę. Później jeszcze kilka razy wstępowałem do niego. W styczniu 1983 r. zostałem redaktorem dwutygodnika diecezji włocławskiej „Ład Boży”. Księdza Jerzego coraz bardziej atakowano w mediach za Msze św. za Ojczyznę, jednocześnie cenzura nie dopuszczała do publikowania ani jego sprostowań, ani tekstów broniących go. Postanowiłem napisać o nim tak, aby cenzura tekstu nie zakwestionowała, a czytelnicy wiedzieli, że chodzi o kapelana posługującego robotnikom w wielkim mieście – bez nazwiska, ale z imieniem. Byłem u niego w Niedzielę Palmową, 25 marca 1983 r. Po Mszy św. ks. Jerzy powiedział: „Dzisiaj jesteś jedynym księdzem z

zewnątrz". Odniosłem wówczas wrażenie, że idea żoliborskich Mszy św. jakby zaczęła stygnąć, że on czuje się coraz bardziej osamotniony. Rozmawialiśmy długo, do późnej nocy. Niestety, nie miałem magnetofonu, robiłem tylko notatki.

Napisałem tekst w formie rozmowy z nim do numeru wychodzącego z datą 1 maja 1983 r. Nosił tytuł Kapelan robotników. Cenzura nie skreśliła ani słowa.



**Jerzy Popiełuszko przyjmuje
święcenia diakonatu w
warszawskim kościele
seminaryjnym, 12 III 1972 r.**

Wysłaliśmy Jerzemu szybko ten numer, a wkrótce potem, na początku czerwca, wracając z Bydgoszczy, również z Waldemarem Chrostowskim, przyjechał do redakcji i poprosił o kilka egzemplarzy, które mógłby rozdać przyjaciołom i znajomym. To była jego pierwsza wizyta we Włocławku, bo druga, również gdy jechał z Bydgoszczy do Warszawy przez Włocławek, była już ostatnią...

Chyba i wówczas jechał tą samą trasą, bo redakcja mieściła się nad Wisłą.

K. M.: Niektóre fragmenty tego artykułu zostały wykorzystane w filmie Rafała Wieczyńskiego "Popiełuszko. Wolność jest w nas."

Ks. A. P.: Niemal „żywem” weszła do filmu scena ukazująca moment wejścia ks. Jerzego na teren Huty Warszawa. Towarzyszą temu oklaski, a ks. Jerzy odwraca się, sądząc, że za nim idzie ktoś ważny.

K. M.: Czy ks. Jerzy wspominał o pogrzebie Grzegorza Przemyka?

Ks. A. P.: Tak. Podejmując się prowadzenia tego pogrzebu, zdawał sobie sprawę z tego, że to jest trudne wyzwanie, że może być próba prowokacji, że kilkutysięczną grupę młodzieży może zapalić jeden okrzyk. Dlatego tuż przed wyruszeniem konduktu zaapelował: „Niech naszym najgłośniejszym protestem będzie cisza”. Opowiadał ze wzruszeniem: „Wyobraź sobie, że kiedy te dziesięć tysięcy ludzi szło alejkami na

Powązkach, to nawet żaden ptak się nie zerwał z drzewa”.

K. M.: Więcej się nie widzieliście?

Ks. A. P.: Byłem u niego po aresztowaniu w grudniu 1983 r., kiedy w jego kawalerce „znaleziono” skład materiałów wybuchowych, ulotek, wydawnictw drugiego obiegu. Dowodem na to, że zostały podrzucone, było zachowanie jednego z esbeków przeprowadzających rewizję. Ksiądz Jerzy opowiadał: „Zaraz po wejściu ten człowiek podszedł prosto do tapczanu, otworzył go z łatwością, mimo że ja otwierałem go swoim sposobem, i to jeszcze z trudem.



Msze św. odprawiane przez Księdza Jerzego Popiełuszkę cieszyły się ogromnym zainteresowaniem wiernych, z racji czego często były odprawiane przed kościołem



Ksiądz Jerzy Popiełuszko koncelebruje mszę za ojczyznę w grudniu 1983 r.

Toteż kiedy zobaczyłem, co w nim jest, powiedziałem: «Przesadziliście, panowie». Księdza zawieziono do aresztu, ale po kilkudziesięciu godzinach – po interwencji episkopatu – zwolniono.

Przebieg rewizji pokazano w telewizji, a w prasie zaczęła się nagonka medialna zapoczątkowana paszkwilem

Garsoniera ob. Popiełuszki. Dzisiaj wiemy, że wyszedł on spod pióra Jerzego Urbana. Wszystko to stanęło mi przed oczami podczas procesu toruńskiego, kiedy Grzegorz Piotrowski, opowiadając o tej akcji, mówił z oburzeniem, że cały ich wysiłek poszedł na marne. Ironizował, że naiwna kuria uwierzyła Popiełuszce, że to wszystko podrzucili brzydcy esbecy. Po latach ze szczegółami opisał, jak to wszystko wyglądało naprawdę.

K. M.: Widzieliście się z ks. Jerzym ostatni raz, ale były jeszcze rozmowy telefoniczne.

Ks. A. P.: Tak, ale oszczędne, bo ze świadomością, że ktoś nas podsłuchuje. Ostatnia rozmowa telefoniczna miała miejsce na początku września 1984 r.



Ksiądz Jerzy Popiełuszko w lutym

1984 r.

Chciałem go zaprosić do kościoła seminaryjnego we Włocławku na poprowadzenie rekolekcji adwentowych. Powiedział wówczas coś, czego zupełnie nie rozumiałem, a nie chciałem przez telefon dopytywać: „Nie, nie mogę ci obiecać, bo mnie chyba nie będzie w tym czasie”. Pomyślałem sobie, że pewnie przyjął inne zamówienie, ale on dodał: „Nie wiem, czy będę w Polsce”. Mówił o tym spokojnie, bez żadnej goryczy. Przypomniałem sobie i rozumiałem tę rozmowę dopiero na procesie, kiedy padło pytanie skierowane do zabójców: „Po coście zabijali, skoro miał wyjechać do Rzymu?”. Kłamali, że dowiedzieli się o takim pomysle niedługo przed zamachem na niego. A wiedzieli już od czerwca. Ponadto byli przekonani, że nie zgodzi się na ten wyjazd.



Nekrolog zawiadamiający o

Śmierci i terminie pogrzebu

Grzegorza Przemyska

K. M.: W jakich okolicznościach dowiedział się ksiądz o porwaniu ks. Popiełuszki?

Ks. A. P.: Byłem w Rzymie, w siedzibie Radia Watykańskiego. Na redakcyjnym teleksie zobaczyłem wiadomość z Warszawy, że zaginął ks. Popiełuszko. Byłem pewny, że to nie może być zwyczajne zaginięcie, że to musi być coś więcej. Intuicja podpowiadała, że za tym stoją tajne służby. Po powrocie do Polski dowiedziałem się tylko tyle, ile podawano w oficjalnych wiadomościach. We Włocławku widać było zwiększoną liczbę funkcjonariuszy milicji. Wkrótce wjazd na tamę włocławską został zamknięty, ale nie sądziłem, że właśnie tu objawi się finał zaginięcia ks. Jerzego.

K. M.: Czy żywił ksiądz nadzieję, że ks. Jerzy może zostać odnaleziony żywy?

Ks. A. P.: Raczej nie, za długo to wszystko trwało. Wydawało mi się, że nie po to „zniknął”, aby wrócić. Chociaż może i miałem jakąś maleńką nadzieję? W ostatnią niedzielę października, w czasie Mszy św. za Ojczyznę we włocławskim kościele św. Józefa, powiedziałem podczas kazania: „Wy, którzyście przyłożyli do tego ręki, zróbcie coś! Zmańcie z siebie ten grzech!”. Oczywiście wierni wiedzieli, do kogo i o kim mówię.

Ostatnia rozmowa telefoniczna miała miejsce na początku września 1984 r. Chciałem go zaprosić do kościoła seminaryjnego we Włocławku na poprowadzenie rekolekcji adwentowych.

Jadąc na pogrzeb, wstąpiłem na tamę. Okazało się, że na parkingu pojawił się zakaz zatrzymywania dla samochodów. Po pogrzebie pojechałem do włocławskiego Wydziału Komunikacji, prosząc o wyjaśnienia. Urzędnik tłumaczył się, że „to obiekt strategiczny”, że istnieje poważne ryzyko, iż mogliby się tam pojawić szpiegdy. Odparłem, że dzisiaj takie obiekty fotografuje się z kosmosu. W końcu powiedział tylko: „Już wy wiecie dlaczego”.

Niemal od dnia pogrzebu na tamę zaczęli przychodzić ludzie. Modlili się, kładli kwiaty, zapalali znicze. Milicjanci zabraniali zatrzymywania się w miejscu, gdzie zrzucono ciało do Wisły, a kwiaty i świece kopnięciami wrzucali do wody. Gromadzących się na brzegu rozpędzali. Zadzwoiłem do Urzędu Spraw Wewnętrznych z pytaniem, dlaczego nie wolno tam chodzić i modlić się. Odpowiedziano mi: „A czy ksiądz wie, jak ci ludzie

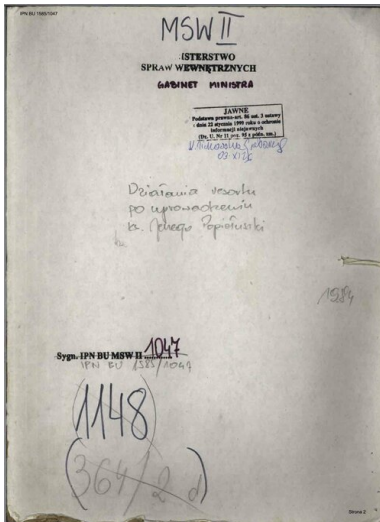
ubliżają funkcjonariuszom? Nie dalej jak wczoraj jakaś kobieta podeszła do funkcjonariusza i zapytała: «Synku, a czy twoja matka wie, co ty tu robisz?»».

Ta gra, którą prowadził na procesie Piotrowski, była na swój sposób skuteczna – jedna z dziennikarek bez najmniejszej żenady wyznała: „Ach, jaki on przystojny, jaki męski” – i widać było, jak funkcjonariusze na sali i poza nią identyfikowali się z nim. Jeszcze w trakcie trwania procesu mój kolega, też ksiądz, usłyszał na ulicy przez opuszczoną szybę auta: „Wszystkich was powinni tak załatwić!”.

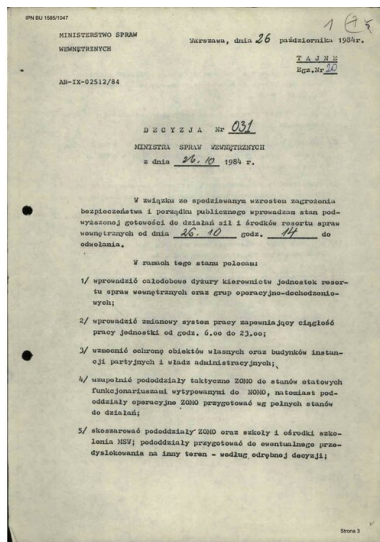
K. M.: Pod koniec grudnia 1984 r., dwa i pół miesiąca po zabójstwie ks. Jerzego, rozpoczął się w Toruniu proces jego morderców. Jak ksiądz się znalazł na tym procesie?

A. P.: Złożyłem prośbę o akredytację i zadzwoniłem do rzecznika Ministerstwa Sprawiedliwości. Zbyt mnie dosyć obcesowo: „Zagraniczni dziennikarze nie dostali, a pan miałby dostać?”. Tłumaczyłem, że jestem księdzem z katolickiego pisma we Włocławku, z miejsca, gdzie to wszystko się wydarzyło, ale on stwierdził, że to nie ma znaczenia. Jakby na odczepne powiedział jednak, abym spróbował u prezesa sądu w Toruniu, który dysponuje jakimiś wejściówkami dla zakładów pracy: „Jak panu da, to pańska sprawa”.

Natychmiast zadzwoniłem do Torunia. Prezes sądu, Artur Kujawa, ten sam, który później przewodniczył rozprawie, odpowiedział, że nie dysponuje żadnymi przepustkami i że pozostają one w gestii Ministerstwa Sprawiedliwości. Koło się zamknęło. Zapytałem tylko: „Jak pan sobie wyobraża, żeby na tym procesie nie było nikogo z Włocławka? – „Pan jest z Włocławka?” – usłyszałem. I jakby innym tonem: „A ja kończyłem szkołę we Włocławku.” – Ja też!” – odparłem. I niespodziewanie rzekł: „Dobrze... Niech pan przyjedzie jutro po przepustkę”. Pojechałem od razu, nie wiedząc zresztą, że moja rozmowa była podsłuchiwana. Dopiero po dwudziestu latach dowiedziałem się, że Wydział IV włocławskiej Służby Bezpieczeństwa napisał do swojego toruńskiego odpowiednika, iż właśnie udaję się do sądu po akredytację i że względu na moją „wrogą postawę” należy mi to uniemożliwić. Esbecy z Torunia 19 grudnia skierowali pismo w tej sprawie do Wydziału Śledczego, ale do adresata dotarło ono 31 grudnia, kiedy już kolejny dzień byłem obecny na procesie.



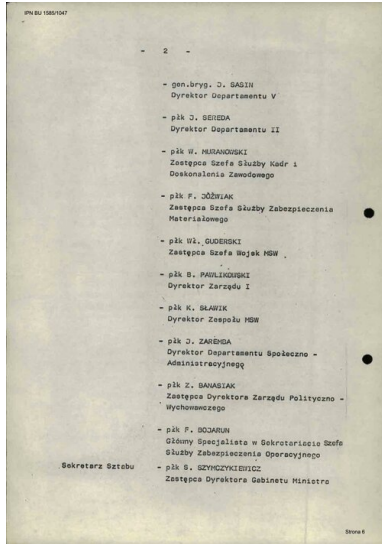
Zalecenia szefa komunistycznego resortu spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka w związku z sytuacją po uprowadzeniu Księdza Jerzego Popiełuszki, str. 1



Zalecenia szefa komunistycznego resortu spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka w związku z sytuacją po uprowadzeniu Księdza Jerzego Popiełuszki, str.

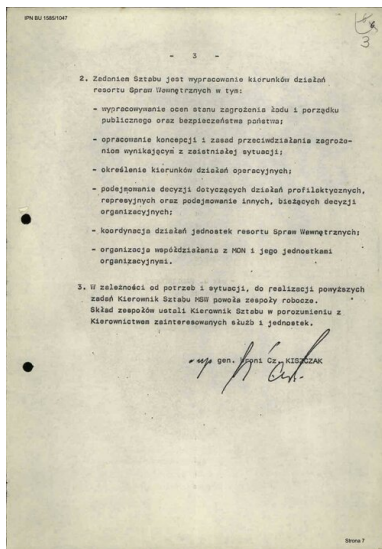
**Czesława Kiszczaka w związku z
sytuacją po uprowadzeniu
Księdza Jerzego Popiełuszki, str.**

4



**Zalecenia szefa komunistycznego
resortu spraw wewnętrznych
Czesława Kiszczaka w związku z
sytuacją po uprowadzeniu
Księdza Jerzego Popiełuszki, str.**

5



Zalecenia szefa komunistycznego
resortu spraw wewnętrznych
Czesława Kiszczaka w związku z
sytuacją po uprowadzeniu
Księdza Jerzego Popiełuszki, str.

6

K. M.: Pierwsze odczucia z procesu...?

Ka. A. P.: Dzień był pochmurny. Ulica, przy której znajdował się budynek sądu, została zamknięta dla ruchu. Wszędzie stały milicyjne wozy. Ludzie mogli dojść tylko do kordonu z barierek. Na wewnętrznym dziedzińcu sądu stał pojazd z armatką wodną do rozpędzania tłumów. Nad tym wszystkim krążył helikopter. I ta pustka na ulicach dookoła... Czułem się, jakbym szedł do jaskini lwa, jakby to było przeciwko mnie, a nie dla „ochrony” oskarżonych. Podobno obawiano się ich odbicia.

Pierwszego dnia siedziałem jakieś półtora metra od Grzegorza Piotrowskiego. Zrobił na mnie przygnębiające, żeby nie powiedzieć – straszne wrażenie.

Tylko przez kogo? Przed wejściem ustawiała się długa kolejka, bo kontrole były trzy, łącznie z badaniem detektorem, czy nie mamy przy sobie jakichś metalowych przedmiotów, i skrupulatnym sprawdzeniem, czy nie wnosi się urządzeń nagrywających. Wszędzie stali antyterrorysty. No i z bliska zobaczyłem ich – sądzonych...

K. M.: Jakie wrażenie zrobili na księdzu?

Ks. A. P.: Pierwszego dnia siedziałem jakieś półtora metra od Grzegorza Piotrowskiego. Zrobił na mnie przygnębiające, żeby nie powiedzieć – straszne wrażenie. Kiedy zeznawał, był i rzeczowy, i emocjonalny, i prawie wzruszający, a za chwilę – brutalny w określeniach, kłamstwach, oskarżeniach, w pogardliwych słowach o swojej ofierze. Zewnętrznie bardzo elegancki, wręcz wymuskany. Teatralnym gestem wyciągał chusteczkę z górnej kieszeni i ocierał pot z czoła. Reagował wyrazistą mimiką na to, co mówili inni. Ale to jego zachowanie było wystudiowane, od początku do końca. Doskonale wiedział, kiedy wzruszyć, kiedy zagrać twardziela, kiedy zmienić się z ofiary w oskarżyciela: „Nie byłoby mnie na tej sali, gdyby prawo było prawem i

dla Popiełuszki". Ta gra, którą prowadził, była na swój sposób skuteczna – jedna z dziennikarek bez najmniejszej żenady wyznała: „Ach, jaki on przystojny, jaki męski” – i widać było, jak funkcjonariusze na sali i poza nią identyfikowali się z nim. Jeszcze w trakcie trwania procesu mój kolega, też ksiądz, usłyszał na ulicy przez opuszczoną szybę auta: „Wszystkich was powinni tak załatwić!”.



**Proces toruński. Zabójcy Księdza
Jerzego Popiełuszki na ławie
oskarżonych**

Kiedy zobaczyłem Piotrowskiego, przypomniałem sobie, że rok wcześniej przyjechał do kurii wrocławskiej jako funkcjonariusz MSW z powodu rozbicia jakiejś szajki fałszującej podobno metryki chrztu. Był uprzejmy, wykazał zainteresowanie albumem o Janie Pawle II. Zapytany, czy chciałby go otrzymać, powiedział niegrzecznie: „Co – przekupstwo?”. A za moment z uśmiechem: „Żartowałem”. Opowiadał mi znajomy dziennikarz, którego Piotrowski kiedyś przesłuchiwał, że długo był miły, częstował herbatą, do czasu, kiedy nieusatisfakcjonowany odpowiedzią warknął: „A w mordę chcesz?”. Tam, na sali zobaczyłem w nim Frankensteina XX w. A to był przecież funkcjonariusz, a raczej „produkt” Służby, o ironio, Bezpieczeństwa.

K. M.: A pozostali oskarżeni?

Dużym przeżyciem było usłyszenie, podczas odsłuchiwania relacji z wizji lokalnej, normalnego głosu Chmielewskiego – tego, który w czasie rozprawy budził litość swoim jękaniem. Na sali zapanował dosłownie szok, kiedy zebrani usłyszeli jego normalny, zimny, a jednocześnie niemal luzacki głos i oświadczenie: „Do tej pory kłamałem,

teraz mówię prawdę”.

Ks. A. P.: Można było zauważyć wyraźny konflikt między Piotrowskim a Adamem Pietruszką. Kiedy ten zeznawał, Piotrowski reagował z wyraźną dezaprobatą. Pozostali mówili o Piotrowskim z szacunkiem, per szef – mimo tego, co zrobił. Waldemar Chmielewski powiedział nawet: „wierzyłem mu jak ojcu”; chociaż jego ojciec – pułkownik MSW i... kolega Pietruszki – siedział na sali. Widać było dużą zależność Chmielewskiego od Piotrowskiego.

Leszek Pękala robił zaś wrażenie człowieka zdruzgotanego, który żałuje, że w tym wszystkim się znalazł, choć tego nie powiedział. Podobno on jeden miał podczas porwania w miarę ludzkie odruchy... Ale znał granice, których nie mógł przekroczyć, co było doskonale widoczne, kiedy oskarżyciele posiłkowi łapali go na ewidentnych kłamstwach. Na przykład kiedy był pytany o bicie i wiązanie ks. Jerzego na kolejnym postoju, w lesie. Mecenas Andrzej Grabiński zapytał Pękalę, czy umie wiązać ludzi, czy się w tym szkolił. Odparł, że nie umie i nigdy się tego nie uczył. Tak po prostu wiązał księdza na oślep, i że to nie było jakieś specjalne wiązanie. A przecież widzieliśmy wszyscy, że było ono bardzo precyzyjne i powodowało, że przy każdej próbie uwolnienia się ofiara sama zaciskała na sobie pętlę. W znanym filmie Ośmiornica to wiązanie było nazwane węzłem mafijnym. Ale Pękala szedł w zaparte.

Pietruszka natomiast to wzorcowy funkcjonariusz MSW. Człowiek nowomowy. Żadnych emocji. Mówił zawsze jednakowym tonem. Kiedy zeznawał, to tak, jakby referował jedną ze spraw, która go nie dotyczy. Dokładnie odwrotnie niż nieporadny gen. Zenon Płatek, który pogubił się w swoich zeznaniach i gdyby nie szybka reakcja prowadzącego rozprawę, to pewnie obciążłyby „górze” MSW. Myślałem wtedy z politowaniem: „To są generałowie MSW? To tacy są władzą?”

Na procesie mieliśmy świadomość zafałszowania. Świadkowie, funkcjonariusze SB niczego nie pamiętali, nic nie kojarzyli albo powoływali się na tajemnicę służbową. Byliśmy wobec tego bezsilni. Od początku dało się też odczuć negatywne nastawienie prowadzącego rozprawę do ofiary, do reprezentujących rodzinę ks. Jerzego, do Kościoła, do katolickich korespondentów. W kolejnych dniach coraz bardziej było widać, że to jest proces także przeciwko Kościołowi. Już podczas wstępnych czynności sąd przecież odmówił Kurii Warszawskiej prawa do występowania w roli pokrzywdzonych śmiercią księdza, argumentując, że ta śmierć nie miała związku z działalnością duszpasterską. Usunięto z sali rozpraw stenotypistkę pracującą dla oskarżycieli posiłkowych, pod zarzutem że zapisuje słowo w słowo.



Z upoważnienia prymasa Józefa Glempa mecenas Jan Olszewski występował jako oskarżyciel posiłkowy w procesie toruńskim. Był też pełnomocnikiem rodziny Księdza Jerzego Popiełuszki

A wypatrzili to funkcjonariusze SB siedzący na miejscach dla publiczności. Ta zmieniająca się grupa, udająca cywilów, dojeżdżała z okolicznych komend. Szczególną wrogość wobec ks. Jerzego wykazywał prokurator Leszek Pietrasiński z Prokuratury Generalnej. Wobec jego sformułowań zrównujących ofiarę z katami protestowali oskarżyciele posiłkowi. Nasz szacunek zyskał natomiast sędzia sprawozdawca, Jurand Maciejewski, profesjonalista w każdym calu, niedający nawet pozoru stronniczości.

K. M.: Proces trwał od 27 grudnia do 7 lutego, a posiedzenia po kilka, nieraz i osiem godzin dziennie. Jak udawało się księdzu zanotować to, co działo się na sali?

Ks. A. P.: Miałem duży zeszyt z twardą okładką. Zabroniono używać magnetofonów. Pierwsza moja relacja była bardzo dokładna, dosłowna, ponieważ zupełnie nie wiedziałem, co cenzura pozwoli wydrukować. Potem skupiałem się na uchwyceniu atmosfery i zachowań osób występujących w procesie. Zazwyczaj rozprawy trwały od dziewiętej rano do siedemnastej, ale z przerwą na obiad. Z tym że, aby wyjść na obiad, należało przejść wszystkie procedury związane z opuszczeniem gmachu sądu i ponownym wejściem, więc najczęściej ludzie zabierali kanapki. Zwykle przerwy w rozprawach zarządzano w zależności od tego, jak się czuli oskarżeni; właściwie to oni o nich decydowali. Raz czas rozprawy został skrócony, bo został wyłączony prąd i w całym gmachu nie było światła.

Największe wrażenie wywarł na mnie pokaz filmu z wydobycia ciała ks. Jerzego. Nie, nie było na nim drastycznych zbliżeń, przeraziły mnie reakcje obecnych przy

oględzinach zwłok, ze śmiechem włącznie i komentarzami w stylu: „O tu są jakieś dolary..., a, nie, to tylko bon na dziesięć centów”.

„Ład Boży” był ośmiostronicowym dwutygodnikiem, co sprawiało, że moje relacje z procesu ukazywały się z dużym poślizgiem. Opublikowałem w sumie 25 tekstów. Ostatni, podsumowujący, ukazał się w rocznicę morderstwa. Ale już pierwszego dnia procesu, pod wpływem atmosfery na sali sądowej, pierwszych decyzji sądu, zanotowałem sobie prawdopodobne zakończenie moich relacji: „Koniec procesu. Ale czy koniec sprawy?”. I to drugie zdanie cenzor skreślił. Oczywiście skreśleń było więcej, niekiedy jedno słowo, innym razem cały akapit. Ingerencje cenzorskie można było już oznaczać, ale też cenzura jednostronnie ograniczyła możliwość zaznaczenia do czterech ingerencji w jednym tekście. Cenzor tylko raz mnie zaczepił, pytając: „A kiedyż ksiądz ten krwawy serial skończy?”.

K. M.: Jak czytelnicy odbierali relacje z procesu?

Ks. A. P.: Cierpliwie je czytali, mimo że proces już się skończył. Jeszcze teraz, po trzydziestu latach, niektórzy rozpoznają czy przedstawiają mnie: „To jest ksiądz, który był na procesie”. Wtedy ludzie byli spragnieni wieści z procesu ze źródeł „kościelnych” i ufali im. „Dopowiadali” sobie nieraz więcej aniżeli to, co skreśliła cenzura.

Relacje te czytano w audycjach Wolnej Europy. Ówczesny jej kapelan, ks. Stanisław Ludwiczak, kapłan naszej diecezji, otrzymywał „Ład Boży”.

K. M.: Nie dane było księdzu być w sądzie w dniu ogłoszenia wyroku...

Ks. A. P.: Rzeczywiście, nie byłem obecny podczas odczytywania wyroku, mimo że na procesie byłem codziennie przez 39 dni. W związku z tym, że zażądano dla oskarżonych kary śmierci, my, duchowni i tzw. strona kościelna, postanowiliśmy się od tego zdystansować. Po tym wszystkim, czego wysłuchało się podczas procesu, to właściwie człowiek nie wiedział, czy będą skazani za zamordowanie ks. Jerzego, czy za to, że to zabójstwo wyszło na jaw. Nawet dziennikarze reżimowych tytułów szeptałi w kularach między sobą: „Dostaną nie za to, że zabili, ale za to, że spartaczyli”.

Uważaliśmy zresztą, że po tak przeprowadzonym procesie, w którym nie uwzględniano ważnych wniosków oskarżycieli posiłkowych, w którym ucięto wszelkie powiązania oskarżonych ze zwierzchnikami, każdy wyrok będzie naznaczony znamieniem nieprawości. I dlatego nie chcieliśmy być obecni przy jego odczytaniu.

Ksiądz Król, z którym ks. Jerzy współpracował, był jednak zdania, że nie powinno zabraknąć mojej relacji z ostatniego aktu. Uznaliśmy więc, że przyjadę po cywilnemu. Ale na salę nie dotarłem. Milicja zatrzymała mnie do kontroli, okazało się, że torbę z dokumentami zostawiłem w seminarium. Nie pomogły wyjaśnienia, że

jestem księdzem, że jadę na ogłoszenie wyroku. Do tego byłem po cywilnemu... Pomyślałem sobie – no i co, chciałeś być mądrzejszy? Kiedy kolega przyjechał z moją torbą i dokumentami, wszyscy wychodzili już z sądu po ogłoszeniu wyroku. Stało się tak, jak miało być.

K. M.: Powiedział ksiądz, że udział w procesie zabójców ks. Jerzego był najważniejszym doświadczeniem w życiu. Chciałabym jednak zapytać, jakie wydarzenie z procesu było najsilniejszym doznaniem emocjonalnym?

Ks. A. P.: Ogromnym przeżyciem było przebywanie blisko ludzi, którzy mieli krew ks. Jerzego na rękach. To było i odczucie osobiste – bo była to krew kogoś, kogo znałem – i niewyobrażalne doświadczenie osądzania tych, którzy w PRL byli poza i ponad wszelkim prawem. Jednakże największe wrażenie wywarł na mnie pokaz filmu z wydobycia ciała ks. Jerzego. Nie, nie było na nim drastycznych zbliżeń, przerażyły mnie reakcje obecnych przy oglądzinach zwłok, ze śmiechem włącznie i komentarzami w stylu: „O tu są jakieś dolary..., a, nie, to tylko bon na dziesięć centów”. Pewnie byli to zawodowcy, którzy wydobyli już niejedno ciało, ale kontrast między zmaltretowanym ciałem a śmiechem był paraliżujący. No i fakt, że wówczas pierwszy raz zobaczyłem realia tej zbrodni.

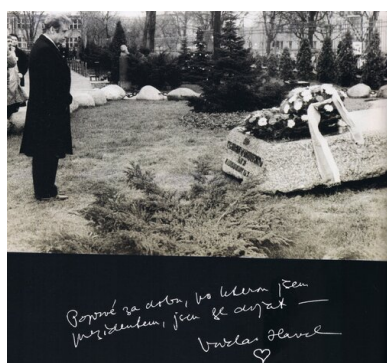
Została przekroczona niepisana, ale w Polsce respektowana granica – mordu na duchownym z racji politycznych, ideologicznych... Ten mord zniszczył pewne *status quo* i otwierał – a jak dzisiaj widać, otworzył szeroko – furtkę do agresji wobec Kościoła.

W sensie ogólniejszym przerażała skala manipulowania procesem, zeznaniami. Widać było, że nie mamy szans dowiedzieć się prawdy. Do tego stronnictwo przewodniczącego składu sędziowskiego. Bez zachowywania jakichkolwiek pozorów przerywał zeznania w istotnych momentach, kiedy tylko pojawiała się szansa, że można by dowiedzieć się czegoś więcej. Czuło się, że tym wszystkim steruje niewidzialna ręka. Szokowały agresywne wystąpienia Piotrowskiego przeciwko Kościołowi. Dużym przeżyciem było usłyszenie, podczas odsłuchiwania relacji z wizji lokalnej, normalnego głosu Chmielewskiego – tego, który w czasie rozprawy budził litość swoim jękaniem. Na sali zapanował dosłownie szok, kiedy zebrani usłyszeli jego normalny, zimny, a jednocześnie niemal luzacki głos i oświadczenie: „Do tej pory kłamałem, teraz mówię prawdę”. Miałem wrażenie, że on tym oświadczeniem jakby mimo woli rzucił światło na całość procesu. Zrozumieliśmy, że jesteśmy wodzeni za nos, że wiemy tyle, ile ktoś chce, żebyśmy wiedzieli. Niezapomniane wrażenie, do dziś żywe, zostawiło we mnie wystąpienie mec. Jana Olszewskiego. Jego mowa oskarżycielska z

tego procesu powinna wejść do annałów światowych! To był majstersztyk, kiedy, nie wymieniając nazwy kraju, dla wszystkich czytelnie wskazał, skąd ostatecznie wyszła inspiracja tej zbrodni. Do jego diagnozy: „Wie o tym każde polskie dziecko, o ile było rzetelnie uczone historii” nawiązał jeden z korespondentów zagranicznych, pytając mnie: „Jaki kraj miał na myśli? – Niech pan pyta dzieci” – odparłem. Już bez tamtych emocji, ale z wielką goryczą zastanawiam się, dlaczego skazani utrzymują tajemnicę, jak było naprawdę, a wymiar sprawiedliwości po trzydziestu latach nie wie niczego więcej o tej zbrodni.



Kardynał Józef Ratzinger,
późniejszy papież Benedykt XVI, z
wizytą w Muzeum Księdza Jerzego
Popiełuszki 25 V 2002 r.; poniżej
okolicznościowy autograf (kliknij
aby zobaczyć całość)



Prezydent Czechosłowacji Václav
Havel przy grobie Księdza Jerzego
Popiełuszki 25 I 1990 r.; poniżej
okolicznościowy autograf (kliknij
aby zobaczyć całość)



Premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher przy grobie Księdza Jerzego Popiełuszki 3 XI 1988 r.; poniżej okolicznościowy autograf (kliknij aby zobaczyć całość)

K. M.: Czy udział w procesie wpłynął na postrzeganie rzeczywistości, na księdza myślenie?

Ks. A. P.: Wyraziście uświadomiłem sobie, że została przekroczona niepisana, ale w Polsce respektowana granica – mord na duchowym z racji politycznych, ideologicznych. Były mordy sądowe w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX w., były bandyckie, połączone z rabunkiem, może nie mniej drastyczne. Ale jednak jakoś inne. A ten mord zniszczył pewne status quo i otwierał – a jak dzisiaj widać, otworzył szeroko – furtkę do agresji wobec Kościoła. Widzę, że to, co wtedy się stało, nadal wydaje zatrute owoce, ale i tragiczne dla przyszłości polskiego społeczeństwa. A jednocześnie ta śmierć i ten proces pokazały prawdę biblijnego zapewnienia: A dusze sprawiedliwych są w rękę Boga i nie dosięgnie ich męka. Zdało się oczom głupich, że pomarli, zejście ich poczytano za nieszczęście i odejście od nas za unicestwienie, a oni trwają w pokoju. Choć nawet w ludzkim rozumieniu doznali kaźni, nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności (Mdr 3, 1-4). Ksiądz Jerzy po śmierci stał się jeszcze bardziej znany, aniżeli za życia. Zaczął nowe życie.

Tekst pochodzi z nr 10/2017 "Biuletynu IPN"



Krzyż w pobliżu tamy we

Włocławku upamiętniający
Księdza Jerzego Popiełuskę i
jego męczeńską śmierć

COFNIJ SIĘ